

LECHIA GDAŃSK

Jeden z dziwniejszych klubów w Polsce. Do niedawna diabli wiedzieli, czy w dalszym ciągu był BKS-em, KS-em, czy FC. Do tego zabawy w fuzje i dziw o nazwie Olimpia/Lechia. Jeszcze wiosną 95 rezerwy Lechii były de facto... innym klubem o niemal tej samej nazwie. W zarządzie pojawiają się kolejno całe zastępy ludzi myślących, jak tu sobie napchać kieszenie. Wciąż jednak znajdują się sponsorzy, chcący Lechię wspomóc. Dobra praca z młodzieżą, która rokrocznie zdobywa medale w kolejnych mistrzostwach Polski juniorów. Łebków szybko wprowadzało się do pierwszego składu, a następnie byli błyskawicznie odsprzedawani lub niknęli. Klub, który ma wieczne problemy finansowe. Niezmienne są jednak trzy rzeczy: Lechia w nazwie, biało zielone barwy i przywiązanie fanatyków. Chociaż uczucia tych ostatnich wyrażane są czasami w sposób wprawiający ich idoli w przerażenie. To w Gdańsku narodził się pomysł, by nauczyć piłkarzy profesjonalnego podejścia do swych obowiązków kijami bejsbolowymi. Do realizacji projektu przyjscia fanów z uzbrojeniem na trening co prawda nie doszło, ale wieść o takiej możliwości wpłynęła na futbolistów nad wyraz mobilizująco.

Lechiści oddani są swej Lechii jak mało kto, lecz nieraz nie chce im się nie tylko śpiewać, ale nawet zebrać w jedną grupę podczas meczu. Tak przynajmniej było przed fuzją. Gdy na stadionie było — przypuśćmy — 1500 widzów, połowę stanowili potencjalni chuligani, goście w szalikach. Lecz jeśli było to spotkanie nie wzbudzające dodatkowych, trybunowych emocji (Arka, Bałtyk), to trudno było się doszukać grupki większej niż kilkanaście osób siedzących wspólnie i stanowiących zgraną paczkę. Na dodatek ci, którzy siadali razem, mieli do przedyskutowania sporo tematów i ważniejsze sprawy na głowie, niż dopingowanie drużyny.

Na jedyny występ Lechii w europejskich pucharach, mimo że w pierwszym pojedynku gdańszczanie przegrali z Juventusem 0:7, przyszło 40 tysięcy ludzi.

Atmosfera Gdańska ma w sobie coś szczególnego. Podczas gdy w innych miastach kibice różnych, nie zahaczających się dyscyplin sportowych, biorą się za łby (w Lublinie bywa i tak, że niechęcią potrafią się obdarzać kibice Motoru, podzieleni na fanów drużyny piłkarskiej i żużlowej), to w Gdańsku żaden kibic Wybrzeża (żużel), czy Stocznio-wca (hokej) nie jest postrzegany inaczej, niż jako „taki inny lechista”.

Trudno jest przełamać w Gdańsku barierę nieufności kibiców Lechii wobec obcych. Długo trzeba tam być znanym, by zostać w pełni zaakceptowanym. Ale jeśli już wejdiesz do tego grona... Zgoda na linii Wrocław — Gdańsk nie rodziła się bez bólu. Nie raz i nie dwa zdarzały się sytuacje, w których wydawało się, że kosa będzie nieunikniona. Teraz spróbuj po wiedzieć coś złego na Lechię we Wrocławiu lub na Śląsk w Gdańsku. Ba, nawet uwagi pod adresem Śląska, które nie są z gruntu negatywne, lecz mają posmak nieakceptacji, często spotykają się ze stanowczą odprawą. Przekonało się o tym paru kibiców Wisły jesienią 94, gdy zajechali do Gdyni na Arkę. Wraz z nimi przywędrowało kilkudziesięciu lechistów.

— Dlaczego z nami przyjechało was zaledwie kilkudziesięciu, gdy ze Śląskiem na Arkę zawsze jeździecie całą watahą? — pytanie było raczej nastawione na uzyskanie informacji.

— A co, Śląsk wam się nie podoba? — padła odpowiedź, w której za warta była doza nieufności do nowych układów i pełna akceptacja starych. Wiślaczy zrobili zgodę z Lechią i ze Śląskiem dosłownie kilka miesięcy przed tym wydarzeniem. Byli trochę rozgoryczeni takim postawieniem sprawy przez biało-zielonych, jednak potrafili strawić sytuację „nowego w układzie”.

Kibice Lechii pojawili się na trybunach na początku lat siedemdziesiątych, gdy drużyna grając w drugiej lidze wciąż aspirowała do pierwszej. Panowała ostra rywalizacja na linii Gdańsk — Gdynia, która na niwie piłkarskiej ogniskowała się na drużynach Lechii i Arki. W tym czasie Lechia przegrywała. Sportowo i chuligańsko. Arka wówczas awansowała do ekstraklasy, z czasem nawet zdobyła puchar Polski. Żółto -niebiescy zawładnęli duszami piłkarskich fanów z okolic Trójmiasta. Jednak lokalny patriotyzm nie zezwala mieszkańcom jednego miasta sympatyzować z drużyną z drugiego. Ta tendencja jest w Trójmieście zachowana, a ci, którzy spod jednych barw uciekli pod drugie, są szczególnie żarliwie ścigani. Aktualnie takim wyklętym człowiekiem jest młody Kaczor, poprzednio

lechista, aktualnie arkowiec. Kim będzie za jakiś czas - nie wiadomo.

Wieści, jakie przenikały z dość hermetycznego środowiska piłkarzy Lechii w końcu lat siedemdziesiątych, świadczyły o tym, że drużynie nie zależało na awansie do ekstraklasy. Rzeczywiście, futboliści rokrocznie zajmowali miejsce w czubie tabeli, jednak wyżej nie awansowali, będąc często jęczyciem u wagi w najważniejszych dla innych momentach. Aż nastąpił krach, czyli spadek w trzecioligową otchłań. Z tych krótkich chwil, jakie w owym czasie Lechia spędziła na trzecim froncie w pamięć kibiców wbiły się dwa momenty. Oba to mecze wyjazdowe. Jeden do Tczewa, gdzie do dzisiejszego dnia większe wpływy ma Arka. Na stadionie tamtejszej Wisły, będącej kibicowską filią żółto-niebieskich, lechiści zrobili trzepanie skóry wszystkim miejscowym, wyganiając ich ze stadionu. Drugim sporym przeżyciem był wyjazd do Świecia na Wdę. Tam nie spodziewano się jakiegoś oporu ani agresji ze strony miejscowych. O co poszło i kto zaczął nie sposób się domyśleć. Po latach prawdy nikt nie dojdzie. Zakończyło się na niezłym laniu, jakie zainkasowali biało-zieloni. Mikołaj do tej pory lubi poopowiadać, oczywiście koloryzując, jak towarzystwo rwało zelówki przed hordą miejscowych. Środkiem transportu uciekających był także zarekwirowany spod sklepu rower. Mikołaj gnał przez lasy kilkanaście kilometrów. Trzecioligowe wyjazdy, zwycięstwa drużyny w młócce na tym szczeblu rozgrywek oraz przede wszystkim zdobycie pucharu Polski skonsolidowało grupę.

Ostatnie w sezonie 81/82 występy futbolistów przyciągnęły masę ludzi. Pojawiło się mnóstwo szalikowców. Euforia nastąpiła po zdobyciu PP w Piotrkowie Trybunalskim. Wówczas milicji nie obchodził w zasadzie sam mecz. Bardziej groźna była wybierająca się nań wycieczka z Gdańska, miasta jednoznacznie identyfikującego się z wolnościowymi dążeniami Polaków. Wprowadzono więc w Piotrkowie prohibicję. Spragniona wódy kilkutyśniczna wiara wysuszyła wszystkie możliwe meliny. Niektórzy, jak na przykład Makaron, na złość milicjantom i swojemu organizmowi żłopali na oczach służb porządkowych wodę brzożową. Wobec tego niebiescy zakazali kioskarzom sprzedaży wód kolońskich.

Lechia wygrała, kibice z Gdańska, jak to mieli wówczas w zwyczaju, pośpiewali o konieczności wywieszania komunistów zamiast liści. Rok później odbyły się długo oczekiwane przez gdańszczan derby Trójmiasta. Ich drużyna kroczyła w kierunku pierwszej ligi, Arka była w trakcie drogi z ekstraklasy do trzeciej. W obozie arkowców panował powszechny marazm, jednak z okazji tego spotkania zmobilizowali się do tego stopnia, iż sami nie spodziewali się takiej liczebności wśród własnych hools. Nie uchroniło ich to jednak przed wygnaniem z własnego sektora — Górki. Po trzecim szturmie fanatycy z Gdańska przegonili gospodarzy z ich stałego miejsca. Część gospodarzy ewakuowała się za stadion.

— Mieliśmy wówczas do czynienia z rzadkim zjawiskiem, gdy kibole przed meczem forsują płoty nie po to, by wejść bez biletu, lecz w drugą stronę — śmiał się jeszcze kilka lat później Wolf, gdy opowiadał o gdyńskiej zadymie. Lechia tryumfowała także na boisku, o co starał się jak mógł sędzia tego pojedynku. O arbitrze Wolf również miał swoje zdanie:

On by ze strachu odgwizdałby koniec świata.

Wśród drugoligowych pojedynków także dwa inne szczególnie zapisały się w pamięci gdańszczan. Wyjazd do głównego konkurenta w walce o awans — Olimpiii Poznań (jak te losy się dziwnie i śmiesznie układają, wszak teraz wielu chciałoby zrobić wszystko, by te kluby połączyć). Lechiści łazili po całym Poznaniu i robili co chcieli, to znaczy objali kogo chcieli. Wówczas Lech nie był poważną przeszkodą. Starsi poznaniacy już dali sobie spokój z kibicowaniem, młodych jeszcze nie było. A biało-zieloni zjechali w sile kilku tysięcy chłopca.

Drugi taki szczególnie wyjazd miał miejsce do Elbląga. Po spotkaniu kilkutyśniczna armada wracała do domu pociągiem grozy. Co chwilę ktoś „dla zabawy” na mijanej stacji zniszczył jakąś przygodną szybę lub latarnię. Za okno wylatywały świetlówki i tym podobne duperele. Nie przewidzieli jednego. Że w związku z demonstracją antykomunistyczną, jaką urządzili w Elblągu, milicja będzie chciała się odegrać. W Gronowie Elbląskim, czyli raptem parę kilometrów od miejsca startu, na pociąg grozy czekała całkiem liczna grupa bud i nysek na sygnałach. Z daleka bractwo widząc

błyskające, niebieskie światła aut, śmiało się, że to pożar, lecz płomieni nie widać. Gdy pociąg wjechał na stację miny przedyły wszystkim. Część towarzystwa wiała gdzieś po torach. Pociąg został opróżniony z wszystkich pasażerów, a wyciągnięci przeszli przez ścieżkę zdrowia. Stopień winy był nieistotny.

Swoj pierwszy sezon w ekstraklasie szalikowcy Lechii byli najliczniej jeżdżącą ekipą na mecze wyjazdowe. Najmocniej pokazali się w Łodzi przed spotkaniem z ŁKS -em. Zjawiała się tam wówczas śmietanka krajowych chuliganów chcących obić Lechię już od dawna i wietrzących swoją szansę właśnie tego dnia. Pojawili się przedstawiciele Zawiszy, Arki, Lecha, Górnika Zabrze. Miała się odbyć egzekucja na przyjezdnych. Biało-zielonych przyjechało tak dużo i byli tak agresywni, że to nie oni stali się zwierzyną łowną. Połączone siły gospodarzy i sprzymierzeńców zostały rozgonione przez hordę przybyszów znad morza.

Najśłynniejsza historia miała miejsce z dala od głównych aren walki. Chadzający własnymi ścieżkami Wolf został namierzony i rozpoznany przez kilkunastu chcących obedrzeć go ze skalpu hools i zagnany na pobliską budowę. Tam kopnięciem w rusztowanie rozwalił je łamiąc sobie przy tym giczała, a następnie po uchwyceniu drąga rzucił się na agresorów, by ich ostatecznie pogonić.

Jednak gdy kibice Lechii nieraz wygrywali swe pojedynki na wyjazdach, to piłkarze robili to nadzwyczaj rzadko. Nic więc dziwnego, że po półtora roku ekipa wyjazdowa zmalala w zastraszający sposób. Nałożyły się na to zniechęcenie szalikowców do oglądania ciągłych porażek i cholernie duże odległości, które fani z Gdańska każdorazowo musieli pokonywać.

Dość spore poruszenie zapanowało w Trójmieście podczas rozgrywania przez Lechię spotkań barażowych o utrzymanie się w ekstraklasie w latach 87 i 88. Zarówno do Chorzowa, jak i rok później do Poznania wybrały się całkiem zgrabne ekipy. Oba pojedynki były dziwne. Na Ruchu zdarzył się przypadek Jojki, który wrzucił sam sobie piłkę do bramki, co jest mu wypominane dziewięć lat po fakcie.

W międzyczasie gdańszczanie odbyli wraz ze wspomagającymi ich wrocławianami wojnę w Wałbrzychu z dosyć groźnym na własnych śmieciach Górnikiem. Choć przyjezdnych było znacznie mniej, rozgonili miejscowych hools już po meczu. (Przed spotkaniem jest łatwiej, gdyż można trafić na bardziej przypadkową grupę miejscowych chuliganów. Po spotkaniu zostają łać tylko ci, którzy tego chcą i mają szansę zorganizować się w pełnym składzie osobowym.

Spadek i drugoligowa mizéria, choć pierwszy wyjazd po degradacji do Olsztyna to obecność 500 głów. Mizéria owa przerywana była chwilami, w których wydawało się, że ponowny awans jest niemal w zasięgu ręki.

Świta, kiedy czuję szarpanie za ramię.

— Wstawaj, bo nie zdążymy — słyszę jak zza ściany. Zegarek pokazuje piątą. Nic dziwnego, że jestem nieprzytomny, skoro spałem dwie godziny. Impreza odbywała się na Krzykach. Musimy przetransportować się na dworzec, gdzie za czterdzieści minut dojedzie reszta fanatyków Lechii, zdążająca na mecz do Oławy. Część gdańszczan jest już we Wrocławiu, to z nimi balowaliśmy. Teraz śpią pokotem, gdzie popadnie. Próby dobudzenia kilku osób spełzają na niczym, ale nie dziwota. Wszak część jest bardziej pijana niż śpiąca. Na przystanku komuś z naszej, uszczuplonej grupy puszczają nerwy. Zbyt długo nie ma ani tramwaju, ani autobusu. Spóźnimy się jak nic. Na dodatek zimno. Więc jakiś kopniak łąduje w szybie. Na szczęście jest obliczona na taką okoliczność, dlatego nerwus dewastuje kopniakami kubeł na śmieci. Pojawia się środek lokomocji. Oczywiście na wjazd pociągu spóźnimy się. Dworzec, co widać już z daleka, jest spowity ciemnym całunem.

— O zobaczcie, może jakiś pożar — ktoś z naszej gromadki wskazuje palcem na unoszącą się czarną zawieszinę. Łapiemy szybko idących małaolatów. Znajome twarze, więc albo młodzież z Gdańska maszeruje z dziwnie pochowanymi szalikami, albo nasi chuligani — juniorzy.

— Nie idźcie na dworzec, wagon się pali, cały pociąg pełen dymu, ogień wydobywa się na peron, a psy łapią kogo się da.

Mimo tych uwag podchodzimy bliżej, jednak wciąż ostrzegani przez zmykających w przeciwnym kierunku fanów obu drużyn, nie wchodzimy na teren dworca. „Odbieramy” swoich znajomków. Dwóch jednak powędrowało na komisariat. Popołudniu spiker w Teleexpresie powiadamia o podpaleniu przez jadących na mecz kibiców Lechii, wiozącego ich pociągu. Kamera pokazuje ciężkie, metalowe drzwi, które się uchylają. Za nimi ośmiu typków z zaciągniętymi kapturami śpiewa dziarsko wymachując rękoma: „Kto liderem jest, gdańska Lechia, nasz BKS!” Była rzeczywistość. Rok bodaj 91.

W tym okresie najfajniejsze wyjazdy organizowane przez biało-zielonych miały swą metę w Szczecinie i Policach. Wybierający się na taką wycieczkę doskonale wiedzieli, że ryzykują życiem, a przynajmniej zdrowiem. Jednak kilkusetosobowe grupy jechały na zachód w poszukiwaniu wrażeń. Fajne zabawy miały miejsce na szczecińskich ulicach. Bójki na pięści i sprzęt wzmagaly wzajemną nienawiść. Nieco wcześniej fani Pogoni wjechali w 60 do Gdańska i z powodu braku przeciwnika (lechiści, przyzwyczajeni, że do nich nie przybywa nikt, odpuścili sobie przed meczowe polowanie), zdemolowali jakiś bar i poobijali małolatów z salonu gier. Wyprawy biało-zielonych miały stanowić odwet, na który Pogoń przygotowana była nieźle.

Fiaskiem organizacyjnym okazał się jeden z wyjazdów do Polic. Wypity szalenię postanowił pozbawić pociąg szyb, co mu się w części udało. Cała grupa wysiadła na otoczonym przez policję dworcu, gdzie wsadzono ich w pociąg, który według mundurowych jechał do Polic. Okazało się to podstępem. Pociąg zamiast w Policach zameldował się z powrotem w Gdańsku.

— Głupie psy zrobiły z was idiotów, być w Szczecinie i nie dojechać do Polic, toż to obciach — czasem w indywidualnych kłótniach, gdy brakuje argumentów, ktoś wypala z takim hasłem. Lechiści wkurzają się wówczas niemiłosiernie.

Ostatnio główną atrakcją wszelkich kibicowskich zabaw były mecze derbowe. Zwłaszcza te z Arką. Mobilizują wszystkich gdańskich chuliganów. Także przyjazdy do Gdyni Śląska uaktywniały biało-zielonych. Do jakichś totalnych walk pomiędzy grupami nie dochodziło, gdyż bardzo starannie przygotowywała się do tych pojedynków policja. Natomiast bywały szarpaniny właśnie z psami. Derby to także festiwal pomysłowości. Wymalowane twarze, mnóstwo nowych flag, głośny obustronny doping i fantastyczna atmosfera. Tworzona także dzięki efektom pirotechnicznym. Ostatnie jak dotychczas (wiosna 95) drugoligowe derby zaowocowały śmieszną sytuacją. Lechia chciała zabłysnąć na własnym stadionie i zapaliła kilkanaście rac. Arka odpowiedziała sześćdziesięcioma. Dym z sektora gości nie pozwolił na grę, więc sędzia przerwał na moment mecz. Nagle z szarego tumanu wyłoniło się dwóch kamikadze biegnących ze ściągniętymi z płotu żółto-niebieskimi flagami. Ich wybiegnięcie stadion przywitał rykiem tryumfu. Jedną z zabranych flag była zrobiona w barwach Arki płachta z napisem Gdańsk.

— Nic nie widzieliśmy. Gdy dymy porozwiewało, zobaczyliśmy, że flagi nam zniknęły — stwierdził po tym fakcie Mazan z Arki.

Wiosną 95 Lechia nie jeździła na swoje wyjazdy jakąś poważniejszą ekipą. Chyba, że się umówili. Ekipy, które pojawiły się wcześniej w Rotterdamie i Chorzowie na meczu Polska — Anglia, to nie były grzeczne wycieczki miłych chłopców. W takim klimacie umówionych wyjazdów zdarzył się Toruń. Lechia trafiła tam tuż po święcie zmarłych.

Czterystuosobowego najazdu nie spodziewali się sami lechiści. Nieco wcześniej mieli równie nieodległy wyjazd do Koszalina, na którym pojawiło się ich zaledwie kilkunastu. W Toruniu Bractwo zabawiało się w halloween. Kilku się przebrało, ci najweselsi. Oprócz diabła, był także ksiądz. Kilkunastu rozrabiaczy weszło jako eskorta duchownego do sklepu. Kobieta zza lady widząc święte szatki w otoczeniu nieco rozwrzeszczanej gawiedzi, trochę się zdziwiła.

— To wycieczka trudnej młodzieży — tłumaczy jej „ksiądz”, po czym sklepowa pod byle pozorem jest wysyłana na zaplecze sklepu. W tym czasie bractwo na wydrę kradnie hurtowo bełty.

Ale... tu stało wino — nieszczęsna kobieta jest w szoku. „Zakonnik” w tym czasie krzyżuje ręce na piersi spuszczać pokornie głowę:

— Ja swoim owieczkom wybaczam wszystko.

Bardzo różnorodny i przeciwstawny stosunek mają mieszkańcy Gdańska do kibiców warszawskiej Legii. Najczęściej gdy muszą się spotykać z racji spotkań między sobą, to się nienawidzą. Gdy klasa rozgrywkowa ich zespołów jest różna, to darzą się lekką sympatią. Po fuzji Olimpii z Lechią, kiedy pierwsza liga w dość dziwnej formie ponownie zawitała nad Zatoką Gdańską, sposób odnoszenia się fanów obu zespołów jest w dalszym ciągu dosyć dziwny. Na Wrzeszczu cały stadion wył „CWKS kurwa”, a po zakończonym meczu dwudziestu trzęsących Żyletą legionistów zostało przez gdańskich macherów zaciągniętych do knajpy, gdzie poschlewano ich na umór. W rewanżu z Gdańska do Warszawy wybrała się na spotkanie Ligi Mistrzów dwudziestoosobowa brygada. Ci, którzy ją odbierali na dworcu złapali się za głowy. Myśleli, że przyjezdnych będzie trzech-czterech. A tu wysypało się całkiem zgrabne stadko. Coś trzeba było z nimi zrobić. Przy minus ośmiu nic nie wymyślono, więc Lechia wmaszerowała do knajpy okupowanej przez legionistów spijających przybyłych do stolicy z tej samej okazji — meczu ze Spartakiem Moskwa — fanatyków Pogoni Szczecin i Zagłębia Sosnowiec. Skończyło się na krzywych spojrzeniach i wzajemnym udawaniu, że towarzystwo się nie zna. Natomiast legionieści popijali raz z jednymi, to znów z drugimi.

Wcześniej w Warszawie, pod siedzibą Polskiego Związku Piłki Nożnej lechiści zorganizowali demonstrację, mającą na celu zmianę sposobu postrzegania przez władze futbolowe sprawy fuzji Lechii z Olimpią Kibice Legii, którzy mieli gdańszczan na patelni”, z niedalekiej odległości przyglądali się całemu zajściu. Starsze bractwo spod Żylety wyciągnęło kilku przedstawicieli biało-zielonych na picie.

Wcześniejsze pierwszoligowe spotkania Lechii z Legią były normalnymi wojnami. Przynajmniej te w Gdańsku. Fanatycy z Łazienkowskiej, którzy odważyli się wybrać na tamte spotkania, nawet po latach opowiadają o trójmiejskich wydarzeniach z ogniem w oczach. Gdyby nie milicja, goście byliby normalnie zmasakrowani. Walki lechistów z psami były długie i brutalne. Odbływały się nie tylko na stadionie, ale i w jego okolicy. Do prowadzenia takowych kibice byli nieźle przygotowani i przyzwyczajeni. Wszak szalikowcy stanowili główną siłę motoryczną w prawie cotygodniowych zamieszkach, jakie miały miejsce w okolicach kościoła św. Brygidy. To fanatycy piłkarscy robili za najzacieklejszą i najwytrwalszą brygadę zadymiarzy politycznych w latach późnej komuny. Czasem kilka osób jechało w jednym przedziale na drugi koniec Polski na mecz Lechii, innym razem ci sami ludzie jechali tym samym pociągiem do tego samego miasta, lecz w ich bagażu znajdowały się antykomunistyczne ulotki.

Tym antykomunizmem zarażali innych. W 88 roku zorganizowany został na meczu Śląsk — Górnik Zabrze piknik antyustrojowy. Gdy w tym samym roku wybuchły w Stoczni Gdańskiej strajki, natychmiast zjawiła się tam brygada fanatyków Śląska, która oprócz wylegiwania się na styropianie pracowała w tamtejszej drukarni powielając — jak to się wówczas mówiło — antypaństwowe ulotki.

Tworzysz następną książkę? – Grabarz z Fioletem specjalnie się nie zdziwili — To napisz o waszej popierdolonej policji. Jeździmy do was na zgodę, ale i tak jest zawsze jakaś wojna...

Rzeczywiście. Wrocławską policja nie przepada za gdańskimi fanatykami. Zawsze podczas ich przyjazdu coś się musi wydarzyć.

Cztery kolejki przed zakończeniem sezonu 93/94 Śląsk jedzie do Wodzisławia, a Lechia zajeżdża do Wrocławia na mecz ze Ślązą. Ostatnim pociągiem, jakim gdańszczanie mogą zdążyć na spotkanie jest ekspres. Reszta przyjechała wcześniej. Z wagonu wytacza się Kamil z Łbem, Wioletem i kilkoma małolatami.

— W Poznaniu zaatakował nas Lech. Myśleli, że trafili na leszczy, a my dawaj za kubły i gnamy za nimi po peronie. Żadnego nie dorwali tak darli zelówy, mimo że było ich ze trzy razy więcej — chociaż zdarzenie miało miejsce dwie godziny wcześniej, Kamil jeszcze nie ochłonał. Jakieś wspólnie wypite piwo, chwila rozmowy i wrocławianie ładują się do autobusu. Jadą na swój wyjazd. Po powrocie wsłuchują się w relację ze Ślązy tych, którzy zostali z Lechią, oraz lechistów, którzy zakotwiczyli we Wrocławiu na dłużej.

— „X rzucił butelką. Taki tam rzut, ledwo doleciała do pierwszego płotu. Psy się na nas rzuciły. Było nas razem może z dwieście osób, to wydawało im się, że w trzy dychy sobie poradzą. Na dodatek dopadli nie tego, który rzeczywiście nabroił. Rozpoczęła się zadyma.

Policjanci spierdalali, bo na Olimpijskim są jeszcze fajne ławki na brechy. Później wpadli w znacznie zwiększonej brygadzie i obili nas.

Przed tym spotkaniem, które wydawało się być decydujące o tym, czy Lechia utrzyma się w drugiej lidze, „Y” zaproponował dwóm piłkarzom Śłęży 50 baniek za przegranie pojedynku. Jego na to stać., Czy tamci wzięli, tego „Y” powiedzieć nie chciał. Ale mecz był dziwny. Śłęza prowadziła 4:1, by w bardzo krótkim okresie czasu stracić dwie bramki. Ostatecznie zakończyło się na 4:3, a MY” szalał na trybunach:

— Ja wam, skurwysyny, pokażę!

Czy kasa poszła w ruch? Wątpliwe. Kilka miesięcy później Śłęza grała na Wybrzeżu w tym samym składzie i gdyby tak było, to podwójnie nie uczciwy sprzedawczyk nie wyjechałby z Trójmiasta z całymi kolanami.

Listopad 94. Mam zrobić wywiad z Tomkiem Kosztowniakiem. Chłopak rok wcześniej fantastycznie zagrał w mistrzostwach Europy juniorów, jednak nie może się zaaklimatyzować w pierwszej drużynie Śląska. Czekam przed szatnią po treningu. Za trzy dni drużyna gra z Lechią.

— Tak, wiemy, Warkoczyk już nam mówił. Po meczu podbiegniemy także do kibiców Lechii — śmieje się Jarek Góra, kapitan drużyny.

— Tylko nie przesadzajcie z tą gościnnością w trakcie meczu — wystraszyłem się nie na żarty. Lechia — w porządku, ale aby awansować potrzebny jest każdy punkt. Ostatecznie Śląsk wygrywa 6:0. Wiara na trybunach tak naprawdę cieszy się tylko do trzeciej bramki. Po czwartej zaczęły się śpiewy „troszkę za dużo, Śląseczku, troszkę za dużo”.

Po tym meczu Artur Brzozowski z Gazety Dolnośląskiej, lokalnego dodatku do Wyborczej napisał w relacji ze spotkania między innymi:

Przez cały mecz sympatyzujący ze sobą kibice Lechii i Śląska zagrzewali obydwie drużyny do walki, co stworzyło na stadionie wspaniałą atmosferę. Po zakończeniu spotkania wszyscy piłkarze podziękowali szalikowcom za kulturalny doping. Szkoda, że takie obrazki można oglądać tylko raz w roku — właśnie gdy przyjeżdża Lechia Gdańsk.”

Choć potencjalnych lechistów, nawet w okresie, gdy na stadion zaglądało zaledwie 1000-2500 ludzi, było sporo, to jednak trudno było wyzwolić w Gdańsku ducha potrzeby bycia na meczach. Klimat wyczuł uciekający spod gilotyny konieczności zapłacenia 16 miliardów długu Bolesław Krzyżostaniak, prezes Olimpii Poznań. Za jednym zamachem mógł przenosząc klub z Poznania do Gdańska załatwić dwie sprawy. Po pierwsze (i chyba najważniejsze) uciec od wspomnianego długu, który sąd polubowny PZPN nakazał mu zwrócić Lechowi (a właściwie Ryszardowi Górcie), a po drugie załatwić sobie forszę przez napływ gotówki z publiczności. Gdy w Poznaniu na mecze Olimpii przychodziło czasami po 50 osób, to w Gdańsku można było nagonić kilkanaście tysięcy. Już sam fakt, że na stadionie we Wrzeszczu pojawiło się dwa tysiące ludzi podczas... ceremonii podpisania fuzji Olimpii i Lechii świadczy o ciśnieniu, jakie stosunkowo łatwo było w Gdańsku wytworzyć. Wśród najzagorzalszych fanatyków Lechii w momencie podpisywania dokumentów raczej nie było rozbieżności, choć odzywały się nieliczne głosy sprzeciwu. Kaczor (nie mylić z tym Kaczorem, który rzuciwszy szalik Lechii został kibicem Arki) stwierdził:

— Ja mam w dupie fuzję z policjantami, prawdziwa Lechia gra w trzeciej lidze. Jedziemy na pierwszy mecz do Grudziądza.

Co najśmieszniejsze, później Kaczor był najbardziej widocznym demonstrantem kibiców Lechii pod budynkiem PZPN w Warszawie, zorganizowanej po to, by fuzję jednak zatwierdzono.

Lechia jeździ zrywami. Rok 95 zaczęli nieźle, od 150 hools w Gorzowie. W czasie powrotu drobna szarpanina z Lechem. Wyszło po myśli gdańszczan, mimo, że byli w osłabionym składzie, gdyż najlepsza bojówka podróżowała autami. Jednak i Lech nie był reprezentowany przez swych największych łobuzów. Później było gorzej. 10 w Wodzisławiu, zaledwie 60 w Krakowie na Wiśle. Krakusy przyjęły Lechię z iście staropolską gościnnością. Następnie biało-zieloni byli znacznie liczniejsi niż gospodarze w Gdyni na Bałtyku. Już po fuzji 100 gdańszczan zameldowało się w Tarnobrzegu, około 200-250 w Gdyni na Arce w meczu trzecioligowym, 8 (plus 10 z Wrocławia) w Lubinie,

500 w Olsztynie, gdzie sprowokowali całkiem niezłą rozróbę pod kasami. Wsiadający z pięciu taryf najwięksi zadymiarze natknęli się akurat na obijanie młodszych lechistów przez kibiców Stomilu. To spowodowało kontrakcję i pogonienie ludzi spod kas.

40 w Krakowie na Hutniku (plus 300 – 350 wiślaków). Przed tym meczem wiślacy spili gdańszczan dokumentnie. W Gdańsku po dotarciu wieści z Krakowa znacznie poważniej zaczęto podchodzić do zgody z Wisłą).

6 w Oleśnicy na pucharze Polski, 60 w Szczecinie na spotkaniu, które według terminarza powinno odbyć się w Gdańsku. Na meczach reprezentacji narodowej Lechia nie wystawiła jakiegóż szczególnie licznej ekipy, ale zarówno w Paryżu, jak i Bratysławie oraz w Chorzowie na Rumunii była to grupa konkretów, wiedzących na czym polega zabawa i potrafiących użyć pięści. W Paryżu pasażerowie jednego z busów robili szczególne wrażenie. Dziewięciu osiłeków ważyło w sumie dobrze ponad tonę, a na dobitkę wszyscy po drodze wygolili się na zero. Inaczej wyglądają łyse głowy, doprowadzone do tego stanu kilka czy kilkanaście dni wcześniej, a inaczej wygolone dopiero przed chwilą.

Wśród kibiców Lechii jest kilka ciekawych okazów. Łeb lubi jeździć trójmiejską obwodnicą z szybkością 160 kilometrów na godzinę, popisując się przy okazji dzwonieniem z telefonu komórkowego. Milan jest mistrzem Polski w rugby, Stalówa swoją ksywkę ma chyba od siły uścisku dłoni, a młody Makaron na poważnie mówi tylko wtedy, gdy się pomyli. Łyli swoją pierwszą stadionową zadymę przeżył, gdy miał dziesięć lat. Wiolet wypożyczył kiedyś z biura podróży autokary na wyjazd do Dębicy. Gdy policjanci chcieli później ustalić personalia wycieczkowiczów, dotarli do agencji turystycznej.

— Panie, przyjechał gość nowym wozem, na jakiego mnie jeszcze długo nie będzie stać, elegancki, pod krawatem, w drogim garniturze i płaci z góry gotówką. Takemu miałem nie wynająć autokaru? A skąd ja mogłem wiedzieć, że ta jego wycieczka obrobi jakies zajazdy. Toć oni w lesie kopali drzewa — tłumaczył się funkcjonariuszom szef biura.